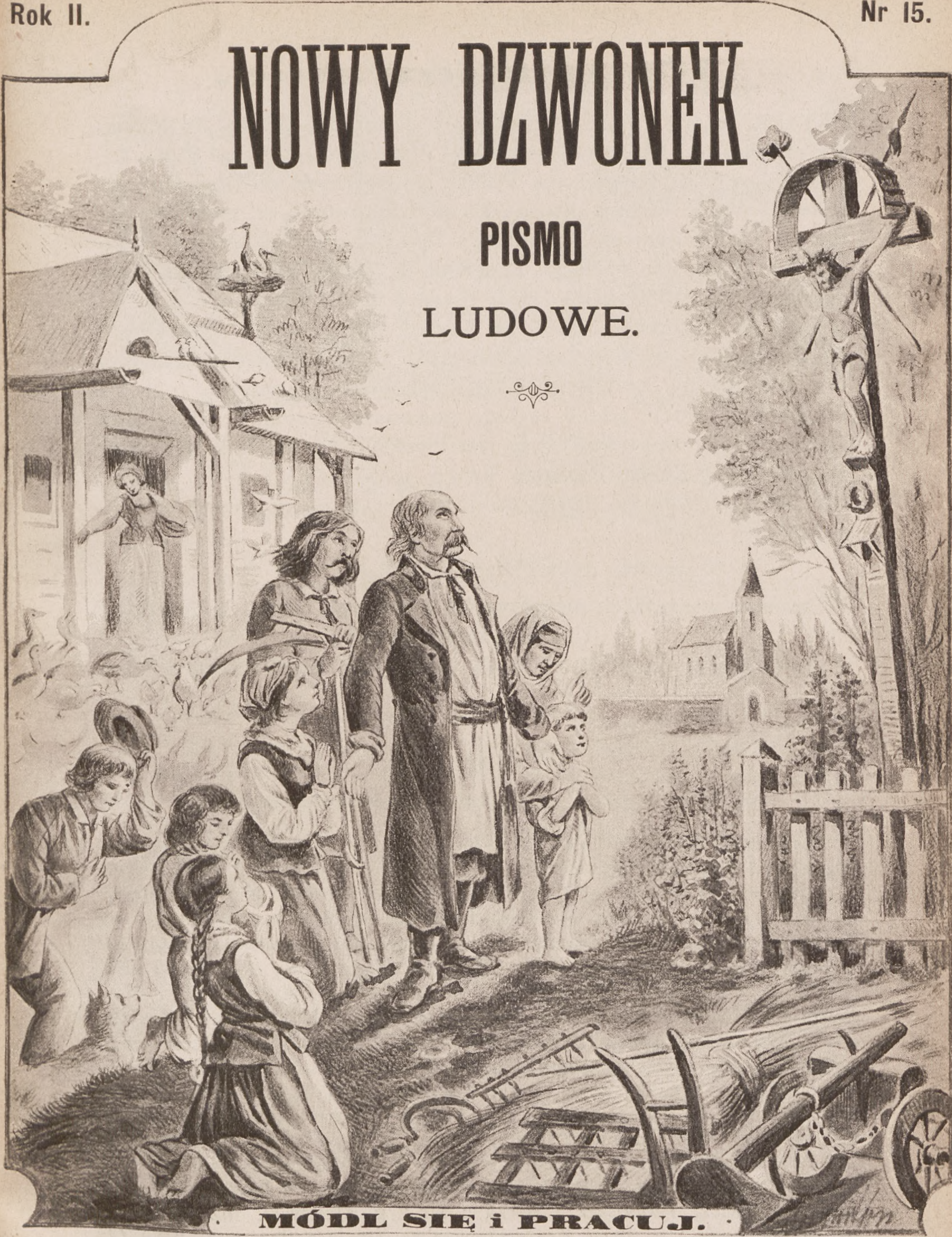
Rok II. Nr 15.

NOWY DZWONEK

PISMO LUDOWE.



MÓDL SIĘ i PRACUJ.

Wychodzi w Krakowie dnia 1 i 15-go każdego miesiąca.

Wydawca i redaktor: *X. Marceli Dziurzyński.*

Podziękowanie.

Pielgrzymi Polacy, stanowiący deputacyę polską do Rzymu na uroczystość stuletniej rocznicy Wielkiego Papieża Piusa IX, gorliwego Ojca i Opiekuna Polski, po powrocie do Ojczyzny, poczuwają się do miłego obowiązku podziękowania za trudy w urządzaniu tej pielgrzymki, troskliwej dbałości podczas podróży i pobytu w Wiecznem Mieście, **Przewiel. X. Drowi Wincentemu Smoczyńskiemu,** *Szambelanowi Jego Świątobliwości Leona XIII, Proboszczowi w Tenczynku* i t. d. za Jego iście ojcowską troskliwość, trudy i poświęcenia, bez których żadna z poprzednich pielgrzymek i ta ostatnia nie byłaby się udała, a pobożni nie mieliby tych korzyści duchowych, jakich za Jego powodem otrzymali. Niech Bóg, który jedynie Sprawiedliwym jest Sędzią i Ojcem, odpłaci **Tobie Przewielebny Księże Prałacie** Twoje poświęcenia i znoje, podjęte dla chwały świętego Kościoła i naszej Ojczyzny ziemskiej, nieszczęśliwej Polski.

W Krakowie dnia 1 sierpnia 1894.

W imieniu wszystkich pielgrzymów biorących udział w deputacyi i za ich zezwoleniem

Kasper Molęcki.

Wykaz ofiar

na rzecz kaplicy w Dołhem w powiecie stryjskim:

Garstka mazurów osiadła w Dołhem o 2 mili od kościoła parafialnego, otrzymała pozwolenie i początkowy zasiłek od Najprzewiel. Konsystorza obrz. łać. na wybudowanie kaplicy. Ponieważ jednak ludzie ci biedni nie są w stanie o własnych siłach doprowadzić do skutku tak ważnego dzieła, przeto Namiestnictwo pozwoliło im zbierać na ten cel składki w okolicznych powiatach. Wskutek złych lat są one jednak zbyt skromne, a dlatego na tej drodze Komitet budowy odzywa się do ofiarności prawdziwych patryotów z prośbą o datki, choćby najdrobniejsze.

Tymczasem przesyła serdeczne »Bóg zapłać!« dotychczasowym dobrodziejom, a w szczególności zaś dziękuje WP. E. Opolskiemu, notaryuszowi w Stryju, który bezinteresownie jeździł dwukrotnie celem przeprowadzenia zapisu gruntu pod kaplicę i utworzenia Towarzystwa, jak również JW. baronowi Brunickiemu ze Strzałkowa za udzielanie dębów na podwalinę. Dalsze datki złożyli: WP. Manasterski, radca i starosta ze Stryja 1 złr.; WP. Niewiadomska, starościna z Jaworowa 5 złr.; X. Stankiewicz, Proboszcz z Berka 2 złr.; p. Majewski, inżynier kolei ze Stryja 1 złr.; p. Józef Kosterkiewicz ze Stryja 5 złr.; pani Ema Zimowa dyr. ze Lwowa 5 złr.

Dołhe p. Morszyn.

X. J. Łukaszkiewicz, *Józef Godlewski.*

Rok II. Kraków 1 Sierpnia 1894. **Nr 15.**



PISMO LUDOWE.

Przedpłata na *Nowy Dzwonek* wynosi w **Galicyi** rocznie: **3** złr.
półrocznie: **1** złr. **50** ct.
kwartalnie: **75** ct.

W Niemczech rocznie: **6** mk.
W Ameryce rocznie: **2** dolary.
Adres do przesyłania przedpłaty: *Redakcya Nowego Dzwonka*, **w Krakowie,** ul. Basztowa l. 4.

Wychodzi dnia **1** i **15**-go w miesiącu.

Kto winien, że dziś jest tyle anarchistów?

Kiedy przed miesiącem pod sztyletem anarchisty-mordercy zginął prezydent Francyi, cały świat wydał jeden okrzyk oburzenia, całą ludzkość przeszedł dreszcz trwogi na myśl, co to będzie, jeżeli tak dalej anarchiści działać będą.

Po oburzeniu przyszły chwile zastanowienia się nad przyczynami, które wywołują te straszne, ohydne zbrodnie, jakich się teraz anarchiści dopuszczają.

I coraz to śmielej podnoszą się już głosy, że winny temu i rządy i społeczeństwo samo.

Rządy zawiniły wiele, szczególnie rząd francuski i włoski, bo odsunęły księży od szkoły, bo ze szkół usunęły naukę religii, i kazały rodzicom wychowywać dzieci bez religii, bez Boga. Za to zbierają teraz te rządy nagrodę! Winno dalej społeczeństwo samo, winni rodzice, którzy nie wychowują swych dzieci po Bożemu, i nie świecą im dobrym przykładem w wykonywaniu Przykazań Bożych i kościelnych!

Po trzecie zaś zawinili tutaj wiele i to bardzo wiele *wszyscy wichrzyciele*, którzy jednych ludzi ciągle podjudzają przeciw drugim przez swe mowy i gazety!

We Włoszech odezwały się już głosy, że gazety podburzające i pochwalające zbrodnicze czyny, dopuszczają się same także zbrodni. I niema żadnej w tych słowach przesady, bo kto chwali

zbrodnię jakąś, kto drugiemu wydziera ze serca skarb Wiary św., *kto go ciągle podszczuwa przeciw bliźnim*, ten istotnie prowadzi drugich na drogę zbrodni.

Ohydna to działalność podjudzać brata przeciw bratu, a do takiego ohydnego działania **dopomagają socyalistom, anarchistom i wichrzycielom ci wszyscy, którzy czytają i prenumerują ich gazety, i którzy chodzą na wiece czyli zgromadzenia przez nich zwoływane.**

Ciężko więc grzeszą wobec Boga i narodu swego, nietylko sami anarchiści, ale, jak powtarzamy, i ci także, którzy słuchają *wszystkich wichrzycieli*.

Strasznie już karze P. Bóg naród francuski i włoski za to, że odstąpił od Boga, i za to, że dał posłuch ludziom niespokojnym, ale pamiętajmy, że, czego nie daj Boże, i nas taka kara spotkać może.

Więc cóż czynić należy? Nic innego, tylko trzymać się silnie Kościoła św., jego nauki i jego kapłanów, a przy tem odpychać od siebie ze wstrętem wszelkie podszepty fałszywych proroków, którzy udają, że chcą bronić ludu, a w rzeczywistości prowadzą go na haniebne drogi.

Baczność więc Bracia Włościanie przed takimi prorokami, niby obrońcami waszymi! Baczność przed tymi, co wam w swoich gazetkach i na zgromadzeniach czyli wiecach, niosą nie naukę, ale samą tylko truciznę nienawiści!

Baczność przed wszystkimi wichrzycielami, bo jeżeli nie zamkniecie uszu waszych na ich oszukańcze słowa, jeżeli nie zamkniecie drzwi chat waszych przed ich gazetkami, wtedy i wy i dzieci wasze zejść możecie na zbrodnicze drogi, od czego niech was Bóg uchowa!

„Ojcze nasz, któryś jest w niebie“.

(Wstęp do *Modlitwy Pańskiej*).

Objaśnienie w przykładach.

Modlitwę rozpoczynającą się od słów *Ojcze nasz* i t. d. nazywamy *Modlitwą Pańską*, bo pochodzi ona od samego Pana Jezusa, który ją odmówił przed uczniami swemi, ucząc ich, jak się modlić mają.

O tej modlitwie mówi dawny pisarz Tertulian, że ona obejmuje w sobie nietylko wszystkie prośby, ale też prawie wszystką mądrość nauk Zbawicielela, tak, iż tę modlitwę nazwać można treścią albo skróceniem Ewangelii«.

Św. Jan Złotousty mówi zaś, »że żadna inna modlitwa

nie może być tyle przyjemną Ojcu, jak ta, która wyszła z ust Jego najukochańszego Syna«.

Gdy bardzo dawnemi czasy w Niderlandach prowadzono na śmierć pewnego hrabiego, oskarżonego o knowanie rokoszu, hrabia ów już na rusztowaniu zapytał się towarzyszącego mu przy egzekucyi kapłana, jaka jest najlepsza modlitwa, którąby mu w tej chwili wypadało odmówić. Kapłan odpowiedział: »Najlepszą modlitwą jest *Ojcze nasz*, gdyż ją sam Zbawiciel nasz z nieba otrzymał«.

I słuszna była to odpowiedź, bo jak pisze św. Dyonizy, z zakonu Kartuzów, »ta modlitwa ma tak głębokie znaczenie, tak wielką posiada moc w działaniu, że nikt jej wysłowić nie zdoła«.

Modlitwa Pańska zawiera w sobie *siedm* próśb, które kolejno objaśnimy.

Wstępem do tej modlitwy są słowa:

Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech.

Jak pocieszającą jest rzeczą, że mamy *Ojca w niebiesiech*, doświadczył tego św. Franciszek z Assyżu. Ten został przez ojca swego wydziedziczony, ponieważ wbrew jego woli chciał się poświęcić stanowi duchownemu, i pieniądze swoje między ubogich rozdawał. Pokorny sługa Boży nie zasmucił się bynajmniej tą krzywdą, owszem wesoło i radośnie rzekł: »Gdy już teraz nie mam żadnego ojca ziemskiego, tem swobodniej będę się mógł modlić: *Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech.*

Podobnie pocieszał siebie św. Jan Złotousty, gdy przez cesarzową Eudoksyę niewinnie był z kraju wygnany. »Gdziekolwiek pójdę — mówił — wszędzie jest tam niebo nademną, gdzie mieszka mój Ojciec, który mnie stworzył z niczego, i teraz niezawodnie będzie się mną opiekował, prowadzić mnie i kierować, miłować i pocieszać i żywić. Wszędzie modlić się mogę do *Ojca, który jest w niebiesiech*«.

Pewien biedny chłopczyk stał nad świeżym grobem swego ukochanego ojca i gorzko płakał, bo dawniej stracił matkę, a teraz i ojca mu zabrano. »Ach! — westchnął biedny sierota — nie mam już teraz ojca, nie widzę już jego łaskawego uśmiechu, którym mnie rozweselał, gdy się dobrze sprawowałem. Nikt mnie już tak nie kocha, jak on, najdroższy mój ojciec, mnie kochał. O jak to boleśnie nie mieć już tak dobrego ojca!«

Tak lamentował sierota, wtem wzrok jego padł na krzyż nad mogiłą. Odmalowany tam był Anioł, który jedną ręką wskazywał ku niebu, a w drugiej trzymał napis: *Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech!*

Słowa te pocieszyły nagle biedną duszyczkę sieroty; otarł więc łzy i tak się począł modlić: »Ach, o Tobie, dobry Ojcze,

któryś jest w niebiesiech zapomniałem; Tyś mi pozostał jeszcze jako Ojciec — Ciebie nie stracę. Wziąłeś ojca mego do siebie, i w jego miejscu chcesz być moim ojcem. Ojcze, który jesteś w niebie! nie opuszczaj mnie więc, biednego sierotę, bądź odtąd Ojcem moim!«

Tak się modlił chłopczyk i był pocieszony, a Ojciec niebieski opiekował się nim, to też chłopczyna wyszedł na bogatego i pobożnego człowieka. W późniejszym wieku chętnie wspominał o tem, jak go to pocieszyły owe słowa: *Ojcze nasz!* wypisane na grobie jego ojca. (Z książki *Tröst. d. Relig.* str. 24).

Dziaduś.

Snieg sypał się w lekkich płatkach, ziemię zakrywając białością, od której w oczach się ćmiło...

We wsi, co się na kraju lasu rozsiadła, pusto, jakby w niej mieszkańców nie było. Choć się godzina zmierzchu dopiero zbliżyła, po chałupach spokojnie, jak wśród nocy. Zwykle pod czas ten ruch bywa we wsi nie mały. Ludzie kończą dzienną pracę, krzątają się przy gospodarstwie... Dziś choć tędy owędy głos żyjącego stworzenia się odezwie, milknie nagle i rwie się, jakby jaka siła potężna na straży tej ciszy stojąca, każdy znak życia tamowała i dławiła... Straszną była ta cisza w powietrzu i na ziemi.

Człowiek uczuwał w niej jakąś słabość, jakąś niemoc, jakieś tchnienie śmierci...

W istocie anioł śmierci stanął wśród tego sioła, blady, śmiertelny, jak ten śnieg, z którym nadpłynął; od dwóch tygodni panowała tu epidemia, a owe czarne tabliczki, nad drzwiami każdego nieomal domu zawieszone z białym napisem: tu tyfus! wyglądały jak cmentarne kamienie po grobach...

Lekarz przyjeżdżał co dwa lub co trzy dni, oglądał chorych, zapisywał leki. Niejeden z chorych wydobrzał, do sił przychodził, ale przeważna część najbiedniejszych marła. Na końcu wsi mieszkała rodzina Tosiów; pięcioro ich było: mąż, żona, córeczka, brat męża kaleka i stary dziaduś. Pewnego wieczoru zachorował mąż, nazajutrz żona. Febra ich wnet wielka trząść poczęła, a czerwonawe plamki okrywały ciało coraz to liczniej. Dziaduś, krzepki jeszcze starowina, bywalec w świecie, głowy nie stracił. Wnuczkę 9-letnią Franię i syna Kostka od chorych odsunął.

— Ja sam posłużę — rzekł — a choć się zarażę i zemrę, czas też ze mną, bom stary. Wy młodzi jesteście, więc was szkoda!

Frania płakała i przez szparę od drzwi zaglądała do izby, w której chorzy leżeli.

— Matusiu, jak wam jest? Tatusiu, kiedy wstaniecie? — pytała.

— A pójdziesz ty sobie — fukał na to dziaduś — nałykasz się chorego powietrza i jeszcze i ty mi zachorujesz.

Lekarz przyjechał, obejrzał, zapisał lekarstwo i zapewniał, że niebezpieczeństwa jeszcze niema. Dziaduś uspokoił się trochę, siadł pod piecem i odmawiał różaniec. Frania i Kostek już spali, chorzy oddychali ciężko, ona nawet gadała niewyraźnie. Trudy ostatnich dni i bezsenne noce zmorzyły starego, usnął z tą myślą, że chorym będzie lepiej. Spał kilka godzin. Gdy się przebudził, wystraszył się i porwał z zydla, patrzeć do chorych. Córka leżała cicho, zięć gadał przez sen. Zbliżył się do łóżka córki, chłód jakiś wionął ku niemu, przypadł bliżej: — zimna! Umarła. Zakołowrociło mu się w głowie, aż się o ścianę oprzeć musiał. Chwilę tak stał pognębiony z rozdartem boleścią sercem, potem głośno zapłakał i jęczeć począł.

Frania, czy nie spała, czy przebudziła się skutkiem tego, dość w koszulce wpadła do izby i zanim się dziaduś spostrzegł, była przy łóżku matki, a poznawszy, że umarła, krzyknęła strasznie i całować poczęła ręce i twarz ukochanej. Stary się upamiętał. Chwycił zbolałą i wyniósł z izdebki...

Nie dość jednak ciężkim był ten jeden krzyż. Niebawem spadł drugi; w ciągu dnia zmarł zięć, a nazajutrz rankiem Frania rozczerwieniona rzucała się w łóżeczku, a po twarzy pokazywały się owe plamki straszne.

Dziaduś, który wnuczkę tę swoją kochał nad wszystkich, nie troszczył się już o nic, tylko o nią. Przyjaciele pogrzebali córkę i zięcia, on aż do progu chałupy odprowadził nieboszczyków, poczem wrócił do łóżeczka. Z niecierpliwością oczekiwał przybycia lekarza, a gdy tenże stanął przy łóżku, patrzał mu w oczy przenikliwie, jakby z nich wyroku chciał się doczytać.

Doktór nie wiele powiedział, leki zapisał i przykazał, aby dokładnie co dwie godziny łyżeczkę z nich chorej podano.

— To wystarczy na dwa dni aż przybędę.

Woźnica, który doktora odwoził, przywiózł z apteki lekarstwo i oddał staremu. Ten coprędzej zbliżył się do łóżka Frani i zagadawszy do niej, podawał jej jedną ręką leki, w drugiej trzymał flaszkę.

Chora rzuciła się nagle gwałtownie i tak uderzyła go silnie w rękę lewą, że flaszka wypadła mu z ręki, spadła na ziemię i rozbiła się na drobne kawałki.

— Jezus, Marya, Józef — jęknął dziaduś i schylił się ku

ziemi, jakby jeszcze chciał ratować. — Co teraz, co teraz? — pomyślał. — Doktór przykazał, żeby dawać — mój Boże, co począć?

Bezradny siadł na ławie przy chorej, która znowu położyła się i jakby zasypiać poczęła. Policzki jej okryły rumieńce, a główka cała pałała. Dziaduś wpatrzył się w tę lubą twarz dziecka. — Biedna moja Frania, przecie mi nie zemrze — myślał — Bóg ją zachowa, własna matka, która już przed Jego tronem stoi, będzie za nią prosiła. — Po chwili inna myśl mu się nasunęła. — Doktór mówił, że to lekarstwo skuteczne i jedyne: jeżeli go nie będzie zażywała, gorączka się zwiększy i...

Nie myślał dalej, ale poleciwszy Kostkowi, aby przy chorej siedział, sam wybiegł na wieś, prosić się o konie do miasta. Wieczór się zbliżał, ktoby tam chętnie konie dawał w taką porę; w niektórych domach pozbywali go się jak najprędzej, aby im zarazy do chaty nie wniósł. Zresztą wieś była biedna, zaledwie kilka w niej mieszkało gospodarzy, posiadających konie.

Przeziębnięty wracał do chałupy. Gdy wszedł, zastał chorą śpiącą, a Kostka siedzącego przy niej, wszystko jak zostawił. Na podłodze leżały jeszcze szczątki rozbitej flaszki i rozlane leki.

— A gdybym sam poszedł? — strzeliła mu nagle myśl do głowy. — Ledwie mała mila do miasteczka, droga prosta, choć śnieg pada, ale drobny, zasp nie ma, pójdę! Ho, ho, nie takie ja odbywał drogi, kiedym jeszcze był listowym. Bywało trzy mile codzień przez pola świeżo zorane, rowy i miedze. Moje nogi to znają — pójdę! Ale gdy się przebudzi? Poproszę sąsiadki Kaczmarkowej, to tu będzie zaglądała: zresztą Kostek!...

Nie myślał już nic więcej, tylko wciągnął na siebie mundur wytarty i czapkę, przewiesił torbę, aby lekarstwa w ręce na mrozie nie nieść, powiedział Kostkowi, jak ma się przy chorej zachowywać i poszedł.

Kaczmarkowa, dobra kobieta, zaraz poszła do chorej i przyrzekła, że tak długo jej nie odstąpi, aż wróci...

Stary szedł, a raczej biegł. Zasp w istocie nie było, śnieg jednak był miejscami głęboki, droga miejscami zawiana. Stary biegł i czuł w sercu niewypowiedziane zadowolenie, że idzie. — Jam teraz matką i ojcem sierotce, więc to moja powinność. Choć się z lekarstwem nieco spóźnię, to zawsze lepiej, jak wcale go nie dać.

Czasem przystanął, odetchnął głębiej i znowu biegł. Po godzinie niezmiernie mozolnej podróży, ujrzał wieże kościoła miasteczkowego, odetchnął, ale kroku nie zwolnił. — Odpocznę na ławie w aptece, aż lekarstwo skończą. — Zmęczenia dotąd nie czuł, w głowie mu szumiało tylko, od szybkiego chodu — oczywiście! Dobił do miasteczka i apteki i oddawszy receptę apteka-

rzowi, siadł, albo raczej padł na ławę. Wyciągnął się, wyprostował i uśmiechnął prawie, bo pomyślał: — nie mówiłem? Dla mnie starego listonosza, to nic taka droga!

Kiedy jednak po półgodzinie lekarstwo odebrał i do powrotu się zabierał, zdawało mu się, jakby mu nogi ociężały. — Zasiedziałem się i kwita. Trzeba ostrzej, to pójdzie. — No, i szło, szło nieźle! Już miateczko zniknęło mu za białową mglistością, już minął znajomy sobie krzyż na rozdrożu. Szedł a raczej biegł i wmawiał w siebie, że idzie tak szybko, jak szedł tam dotąd. Tam jednak nie było. Nogi mu się plątały jakoś, kroki stawiał niepewne, kolana uginały, całe ciało ciążyło ku ziemi. W oczach mu się ćmiło, do czego widok migocącego śniegu wielce się przyczyniał, w głowie szumiało, a ręce opadały bezwładnie.

— He he, — pomyślał stary, — starość daje się we znaki. Tego dawniej nie bywało. Ale to nic, już ja sobie z nią dam radę!

Starał się przyspieszyć kroku i wmawiał w siebie, że istotnie przyspieszył, ale tak nie było. Znowu uszedł kawałek. Teraz począł się już niepokoić. — Co to, nie przechodzi to osłabienie? — Nie przechodziło wcale, ale raczej wzrastało. W oczach poczęły mu czerwone koła migać, dalekie ogromne drzewa nad drogą stojące zdawały mu się być olbrzymami groźnymi, które go lada momentu przygniotą.

— Jezus, Marya! — krzyknął — co się ze mną dzieje?

Szedł jeszcze pochylony, zgarbiony, a czując, że ciężarem ciała naprzód sunie, biegł coraz szybciej, aby nie upaść, coraz szybciej, aż... padł. Zerwał się z okrzykiem i uszedł kawałek i znowu padł, znowu się podniósł i znowu opadł na kolana. Jeszcze kilka kroków wlókł się po kolanach, jęcząc: — Jezusie, Marya ratuj, ratuj Franię! — Potem legł na śniegu, jasność go ogarnęła ze wszech stron wielka. Nie widział śniegu, nie czuł zimna; — odetchnął ciężko i usnął...

W tym samym czasie w chacie Frania się nagle z łóżka zerwała i gadać poczęła niewyraźnie. Kaczmarkowa przytrzymała ją, Kostek do ust kubek z wodą przykładał. Ale to nie pomogło nic.

— Och, gdyby dziaduś z lekarstwem nadszedł! — wyszeptał Kostek.

— Z miasta daleko, na dworze śnieżyca — odrzekła sąsiadka.

— Ach Boże, Boże! — westchnął chłopiec...

Chora znowu się upokoiła...

Płynęły godz.ny, dziadusia nie było.

Kostek coraz był niespokojniejszy. — Gdyby nie noc, wyszedłbym naprzeciw... — Znowu dwie godziny upłynęły, dziadunia nie było.

— Pójdę szukać — rzekł i wybiegł na dwór. W tej chwili

księżyc wyszedł z za chmur. — Bryś! — krzyknął na psa i poszli obydwaj. Na końcu wsi spotkali stróża, który z litości poszedł z nimi kawałek. Bryś biegł naprzód i węszył. O kilka staj za wsią począł skowyczeć.

— Tam coś leży — rzekł stróż.

— To dziaduś może — krzyknął Kostek i począł biedz, o ile na to kulawa noga pozwalała...

Tak to był dziaduś. — Leżał wyciągnięty; śnieg pokrył go białem prześcieradłem, na brodzie i we włosach potworzyły się sople lodowe...

Kostek ryczał z płaczu, a w ciszy nocnej chwytało ten płacz i te jęki przerazliwe echo i niosło ku niebu...

A Frania?

Frania umarła nazajutrz w południe i pogrzebano ją podle dziadunia.

Jak Bóg karze niewiarę.

W jednym z *kalendarzy* szwajcarskich znajduje się opis następującego wiarogodnego zdarzenia:

W sobotę przed trzecią niedzielą adwentową w r. 1850, siedzieli w karczmie goście wraz z parą gospodarską późno w noc, bawiąc się gawędą, grą i prowadząc bluźniercze rozmowy. W końcu odezwał się karczmarz, człowiek mający w tej miejscowości pewne znaczenie. »Kto z nas myśli, że niema Boga w niebie, niechaj podniesie rękę«!

Ze śmiechem podniósł do góry trzy palce swej żony, a za tym przykładem poszło kilku innych gości. Zgromadzeni rozeszli się potem dość późno. Karczmarz i jego żona sypiali w komorze ogrzewanej węglami kamiennemi, które przed kilku godzinami w niej postawiono a później wyniesiono.

W niedzielę rano karczmarz i karczmarka długo się nie budzili. Nadaremnie kołatała do drzwi ich sypialni szescioletnia ich córeczka. Na jej wołania nie było odpowiedzi. Jedni domownicy radzili dziecku, aby rodzicom snu nie przerywało, gdyż pokładli się późno i pragnęliby wypocząć.

Gdy i po kazaniu nikt się w komórce nie ruszał, posłano po ślósarza i kazano drzwi wyłamać. Wchodzących uderzył straszny widok; małżonkowie leżeli jak martwi; lekarz, po którego posłano, poczuł natychmiast swąd z węgli, który ich życia pozbawił.

Wszelkie usiłowania ocalenia karczmarki były daremnemi; kilku lekarzy kusiło się uratować męża, w którym była jeszcze odrobinka życia. Miał on trzy palce prawej ręki w ustach i ściskał

je zębami. Zaledwie udało się lekarzom zapobiedz, aby ich w kurczach nie odgryzł. Przytomności jednak nie odzyskał i wyzionął ducha w tydzień potem.

Pogrzeb jego był pierwszem zajęciem świeżo przybyłego do owej miejscowości Proboszcza.

W kilka dni później zachorował inny wieśniak, który należał do tych, co rękę podnieśli. I ten zmarł nagle.

Czwarty z rzędu rzemieślnik, który także miał udział w owem występnem głosowaniu, zachorował na śmierć. Kilka dni wątpiono o jego życiu, ale Bóg nad nim się zlitował i wrócił mu powoli zdrowie.

Piąty uczestnik tego zdarzenia chodził odtąd regularnie do Kościoła i rzewnym płaczem okazywał swój żal i skruchę.

Lud długo o tym wypadku rozmawiał i widział w nim wyrok Boży. Zaiste, Bóg karze nie wiarę, bo już św. Marek Ewangelista pisze: *Kto nie uwierzy potępion będzie.*

Kotlina Krośnieńska.

Opis historyczny.

(Z pamiętnika historycznego dyecezyi przemyskiej, napisanego przez *ś. p. X. W. Michnę*).

(Ciąg dalszy).

Co do *Jasła*, to dodamy tu jeszcze, że w r. 1430 fundował w tem mieście jakiś kanonik Cielątko, rodem z Jasła, klasztor XX. Karmelitów. W kościele tych Zakonników był cudowny posążek Matki Bożej, słynący łaskami. Klasztor ten skasowany został przez cesarza austryackiego Józefa II-go, a cudowny posążek Matki Bożej jest dziś w *Tarnowcu*, blisko Jasła.

Wspomnieliśmy poprzednio o wsi *Kamieńcu* (dziś Odrzykoniu), w którem na zamku tamecznym mieszkali Kamienieccy. Ci Kamienieccy fundowali także sioło *Kamień* koło Sokołowa i *Podkamień* za Lwowem; również nad Sanem, gdzie dziś *Michałówka*, był *Kamieniec* przez nich założony.

Kotlina Krośnieńska ma więc wiele wspomnień historycznych. Kącik tej kotliny deptał król polski Łokietek, gdy mu wydarli Czesi tron i gdy musiał uciekać z ojczyzny. Tędy uciekał on na Węgry i tędy wracał i tu znalazł przyjaciół i obrońców. Przez kotlinę Krośnieńską przejeżdżał syn jego Kazimierz Wielki, gdy zdążał na Węgry, do swej siostry Elżbiety. Tędy także jechała z Węgier do Polski królowa Jadwiga.

Ziemię kotliny Krośnieńskiej deptały wojska króla Władysława Warneńczyka, gdy tenże spieszył 2 razy do Węgier na wyprawę turecką. W roku 1474-tym napad Węgrów pod Ma-

ciejem Korwinem zniszczył całą okolicę od Dukli aż po Czudec, od Beska po Jasło. Wtedy legło w gruzach do 300 siół.

Byli tu także Tatarzy, osobliwie w r. 1624 i zniszczyli całą kotlinę aż po Biecz. Nie ocalały wówczas ani dwory ani kościoły, Wszystko rabowano, panów i księży mordowano, młodych zaś synów włościańskich zabrali Tatarzy w jassyr czyli niewolę. Napadali też na tę ziemię nieraz i opryszki czyli rozbójnicy górscy, a przez te częste i różne napady zginęły ślady fundacyj kościołów.

Tędy t. j. przez kotlinę Krośnieńską uciekał król Jan Kazimierz przed Szwedami, i tędy przez Jasło, Krosno, Sanok wracał potem na Ruś.

W r. 1657 szedł tędy książę siedmiogrodzki Rakoczy i złupił całą kotlinę, potem poszedł do Rzeszowa, rabując po drodze. Tędy także wracało wojsko Sobieskiego z Węgier po bitwie z Turkami pod Parkanami i po poprzedniem oswobodzeniu Wiednia r. 1683. Byli tu także Moskale, a w r. 1831 przechodził przez Krosno oddział wojsk Jenerała Dwernickiego.

Otóż na razie tyle wspomnień z tej kotliny. Więcej znajdziesz Czytelniku przy dalszem opisie miast jej i wiosek.

Zrobiliśmy małą podróż koło Krosna. Teraz chodźmy dalej. Nad Wisłokiem ciągnie się długą przestrzenią sioło zwane *Krościenko niżne i wyżne.*

Była to dawniej osada przez Niemców i Polaków zamieszkała. Sioło fundował król polski Władysław Łokietek, lub też syn jego Kazimierz Wielki, a ponieważ należało do Krosna, więc wzięło pierwszą nazwę od macierzystego miasta.

Będąc niejako córką i mniejszem od Krosna, nazywało się *Krosnaken*, ztąd skrócona nazwa *Krosnken*, dalej poszło z tego skrócone *Krosken*, z którą to nazwą spotykamy się w aktach z 15 wieku, czyli z przed 400 laty.

Nazwa powyższa mająca niemieckie brzmienie, została później spolszczoną na *Kroszczenko*, a dziś *Krościenko.*

Parafię w Krościenku fundował król Kazimierz Wielki. Gdy Franciszkanin X. Henryk Mora został (pierwszym) Biskupem przemyskim (1377—1391), to miał w gronie swoich XX. Kanoników jakiegoś X. Jakóba, który się podpisał proboszczem z sioła *Krosnken*, czyli dzisiejszego Krościenka. A zatem parafia musiała tu być już pierwej, t. j. wtedy, kiedy X. Mora był jeszcze gwardyanem w Krośnie. Znał on zapewne dobrze X. Jakóba, a zostawszy sam Biskupem zrobił go kanonikiem, a było to w 5 lat po śmierci króla Kazimierza Wielkiego.

W tem miejscu przerywamy na chwilę opis dalszych siół i zwracamy uwagę na tę ważną i ciekawą okoliczność, że w ko-

tlinie Krośnieńskiej znajduje się kilka, a dawniej znajdowało się wiele kościołów poświęconych czci św. Wojciecha.

Podług podania ludowego szedł tędy św. Wojciech z Krakowa na Węgry, do króla Giejzy, aby ochrzcić jego syna, późniejszego św. Szczepana. Po drodze we wsi *Droginii* miał też ochrzić jakiegoś pana Jordana, co przedstawia obraz w kościele, fundowanym podobnoś przez króla Bolesława Chrobrego.

Że na Podkarpaciu t. j, koło Krosna i dalej na zachód koło Muszyny, Tylicza nauczał św. Wojciech, to widać jeszcze i z tego, że górale koło Muszyny śpiewają i znają jego pieśń »Bogarodzica«.

Prawdopodobnem jest także, że i św. Jacek przechodził przez kotlinę Krośnieńską spiesząc z Przemyśla do Krakowa. Było to bowiem w czasie napadu Tatarów (r. 1241), a wtedy Podkarpacie było ochronione od tej szarańczy zbójeckiej, więc droga tędy była bezpieczniejsza. Św. Jacek wyszukiwał także dogodnych i obronnych miejsc na zakładanie klasztorów dominikańskich, a takiem miejscem obronnem był n. p. Żmigród, w którem rodzina Stadnickich w sto lat po śmierci św. Jacka fundowała klasztor dominikański (r. 1336). *Ciąg dalszy nastąpi.*

Stowarzyszenie św. Rafała ku ochronie wychodźców.

Od lat już blisko 50 istnieje »Stowarzyszenie św. Rafała«, które po wszystkich prawie miastach portowych w Europie i Ameryce, gdzie wychodźcy wsiadają na okręta, ma swoich przedstawicieli, duchownych i świeckich, którzy udzielają wychodźcom chętnie rady i pomocy.

Ostatnie roczne sprawozdanie tegoż pożytecznego stowarzyszenia wykazuje, że ruch wychodźczy był największy w r. 1891, bo w tym roku wywędrowało z Europy do samej Ameryki północnej pół miliona ludzi. Od owego czasu liczba wychodźców coraz bardziej się zmniejsza, a w ostatnich czasach ruch wychodźczy ustał prawie zupełnie.

Do zmniejszenia tego ruchu przyczyniły się nietylko surowe środki ostrożności zarządzone z powodu cholery, ale także i wiadomości nadeszłe z Ameryki do Europy o panującej tam nędzy i braku zarobku w Ameryce.

W roku ubiegłym wywędrowało z Austryi i Węgier 41.511 osób, z Rosyi 40.543 osób, z Niemiec 168.272 osób.

Stowarzyszenie św. Rafała ma, jak wspomnieliśmy, w każdym porcie swego ajenta i kapłana, którzy opiekują się wychodźcami. Takim kapłanem dla polskich wychodźców jest w mieście Bremie X. Prachar, a w Hamburgu X. Świder z Krakowa.

Ksiądz Świder wyspowiadał i udzielił w r. 1893 (od 1-go kwietnia do końca grudnia) Komunii św. 8 tysiącom wychodźcom. Rozdzielał także między nich paciorki, medaliki i obrazki Swiętych. Odwiedzał też tych biedaków w barakach cholerycznych prawie w każdy dzień powszedni i w niedzielę, radząc im i pocieszając ich wedle sił swoich.

Przez Antwerpią przyjechało w roku ubiegłym 4 tysiące 87 osób z Galicyi. Pieczę duchowną mieli nad nimi X. Pezo i X. Czajkowski.

W innych miastach portowych, jak w Roterdamie, Hawrze i Liverpolu, niema polskich kapłanów.

Wychodźtwo ludu polskiego do Brazylii ustało w r. 1893 prawie zupełnie, ponieważ dzięki rewolucyi w Brazylii, rząd brazylijski nie mógł przesyłać do Europy biletów na wolny przyjazd.

Takie jest w krótkości tu podane sprawozdanie »Stowarzyszenia św. Rafała«.

Nie zachęcamy nikogo do wychodźtwa do Ameryki, przeciwnie wszystkim to odradzamy, gdyby jednak kto udawał się do Ameryki, to niechaj jadąc przez Hamburg lub Bremę, zanim się- dzie na okręt, zgłosi się do tamtejszych polskich księży, a ci udzielą mu rad potrzebnych.

Dykteryjka klasztorna.

W pewnem miasteczku wielkopolskiem (dziś pod Prusakiem) stała przed laty obok klasztoru OO. Bernardynów bóżnica żydowska. Że zaś z tego ciągłe wynikały zatargi, postanowiono więc wreszcie spór przez dysputę załatwić i albo klasztor albo bóżnicę znieść, stosownie do tego, kto kogo przedysputuje.

Na dysputę takową przeznaczono z jednej strony księdza Gwardyana, a z drugiej rabina. Braciszek klasztorny, szafarz, to jest zajmujący się kuchnią i spiżarnią, sądził, żeby to powadze X. Gwardyana ubliżało, gdyby miał z żydem dysputować. Prosił zatem, żeby jemu załatwienie tej sprawy w imieniu klasztoru poruczono, ale żeby dysputa na migi odbyć się mogła.

W dniu wyznaczonym stawa tedy z jednej strony ów braciszek klasztorny, przybrany w habit, jakby istotny Gwardyan, a z drugiej rabin.

Zaczyna się dysputa. Rabin podnosi najprzód palec do góry, na co braciszek zwraca palec ku ziemi. Rabin powtóre wskazuje ku niemu jednym palcem, a braciszek dwoma; nareszcie rabin ukazuje rękę roztwartą, a braciszek pięścią na to odpowiada.



Gospodarstwo rolne w Ameryce.

(Do artykułu na str. 339).

Tu rabin wyznaje, że został przedysputowany, a wskutek tego bóżnica ma być rozebraną i gdzieindziej wystawioną.

Ciekawi widzowie zapytali się następnie rabina, coby on powyższemi znakami wyrażał i odebrali od niego taką odpowiedź: »pokazałem księdzu Gwardyanowi palcem w górę wzniesionym, że P. Bóg jest w niebie, a on spuściwszy palec na dół, dowiódł, że Bóg nietylko jest w niebie, ale i na ziemi. Pokazałem mu dalej, wystawiając palec naprzód, że oko Opatrzności patrzy na świat, a on odrzekł znakiem, że nietylko jednem, ale i dwoma patrzy oczyma. Moja ręka roztwarta oznaczała, że P. Bóg świat na dłoni trzyma, a pięść X. Gwardyana oznaczała, że Bóg świat mocno w swem ręku trzyma«.

Zapytany zaś nawzajem ów braciszek klasztorny, całkiem inaczej rzecz tę wytłumaczył:

»Palec do góry wzniesiony okazywał, że rabin chce mnie powiesić, na co ja mu dałem do zrozumienia, że go wpierw w ziemię wbiję. Dalej chciał mi palcem oko wyżgać, a ja mu odgroziłem, że mu wydrę oba oczy. Nakoniec chciał mi ręką dać policzek, a ja mu na to całą odgroził pięścią«. *C...*

O wspólnej własności.

Uwagi nad naukami socyalistów.

Jedną z pierwszych a błędnych nauk, jakie głoszą socyaliści, jest ta ich niedorzeczna nauka, że trzeba skasować własność prywatną, szczególnie własność stałą, której się nie zużywa, ale która przy pracy i staraniu ludzkiem przynosi jakikolwiek dochód.

Trzeba więc skasować, tak nauczają socyaliści, wszelkiego rodzaju grunta, domy, inwentarze, fabryki, warsztaty, towary itd. bo wszystko to powinno być wspólną własnością socyalistów. Nic własnego dla siebie lub dzieci swoich nie wolno posiadać, ani nawet mieszkania. Ubranie i żywność dostarczane być mają z dochodów tej wspólnej własności.

Więc kto ma kilka tysięcy morgów ziemi lub tylko kilka zagonów, kto ma kamienicę, pałac, lub tylko chatę za wsią, kto ma tysiące pieniędzy, lub tylko kilka centów, to wszystko ma być wszystkim zabrane i należeć do wszystkich społem.

Takie odbieranie własności nie da się jednak przeprowadzić za zgodą wszystkich, bo ci co mają więcej, nie zgodzą się dobrowolnie na pozbycie się tego, co mają, i sami więc socyalisci głośno mówią, że gdyby przyszli do władzy to niedobrowolnie, ale gwałtem i przemocą wyduszą bogatych jak cytryny.

Otóż takie przymusowe odbieranie ludziom ich własności jest po prostu *kradzieżą*, bo sprzeciwia się *siódmemu* przykazaniu Bo-

żemu: *Nie kradnij* i dziesiątemu: *Nie pożądaj domu bliźniego twego, ni roli, ni sługi, ni wołu, ni osła i* **wszystkich rzeczy, które jego są.**

Kiedy więc P. Bóg powiedział: *Nie pożądaj domu bliźniego twego i wszystkich rzeczy, które jego są,* to przez to powiedział, że taki a taki dom, taka a taka rola, wół, osioł i inne rzeczy **należą** do bliźniego twojego, więc ani do ciebie, ani do kogo innego tylko do bliźniego. Odbierać tę własność bliźniemu wbrew jego woli jest więc *kradzieżą,* bez względu na to, czy tej kradzieży dopuszcza się jeden człowiek, czy wszyscy społem, jak to chcą robić socyaliści. Powyższa przeto ich nauka, że ludziom należy odebrać wszelką prywatną czyli osobistą własność jest bezbożną i przeciwną przykazaniom Bożym.

Chociażby więc socyalistom powiodło się mieć n. p. w radzie państwa samych swoich posłów, którzyby uchwalili zniesienie osobistej własności i tę uchwałę zamienili w prawo, to takie prawo byłoby *bezprawiem,* rabunkiem i kradzieżą, bo wszelkie prawo ustanowione przez ludzi, a przeciwne prawom P. Boga nie jest prawem, ale jest niesprawiedliwością i bezprawiem i takich ustaw słuchać nie wolno, bo *więcej trzeba słuchać Boga niż ludzi.*

Chociażby nawet już nietylko socyaliści uchwalili coś podobnego, ale choćby nawet sami królowie i cesarzowie zatwierdzili takie prawo, to i wtedy byłoby to bezprawiem i grzech nie przestałby być grzechem.

Takie jednak pokasowanie wszelkiej własności, zamierzone przez socyalistów, sprzeciwia się nietylko prawom Bożym, ale także i *zdrowemu rozumowi ludzkiemu,* o czem będzie mowa w następnym numerze.

Gospodarstwo rolne w Stanach Zjednoczonych Ameryki.

(Objaśnienie ryciny na str. 337).

Ktoś, kto zwiedził w zeszłym roku wystawę w Czykago i widział tamtejsze gospodarstwa rolne, tak się wyraził:

»Gdyby ktoś naszym ojcom powiedział, że nastaną kiedyś czasy, że oracz będzie jechał na pługu, a kosarz na kosie i podczas roboty będzie się rozpierał na siedzeniu zamiast iść piechotą, przytem będzie palił cygaro i odczytywał ostatni numer gazety — to takiego człowieka ogłoszonoby za niebezpiecznego waryata. A jednakże to wszystko dzieje się po drugiej stronie oceanu, mianowicie w Stanach Zjednoczonych Ameryki.

Nawet drobniejsi rolnicy amerykańscy usilnie starają się o to, by wyrugować pracę i wysiłek człowieka, a zaprządz do roboty maszyny, które działają przy pomocy siły koni, najczęściej pary,

jak zaś w ostatnich czasach — i elektryczności, która ma obracać naprzykład sieczkarnią. Rolnik tamtejszy zyskuje skutkiem tego najpierw to, że nie potrzebuje zużytkować swojej siły, wykonywa robotę o wiele prędzej i nie potrzebuje trzymać najemnika.

Zwykle też bywa tam tak, że rolnik bywa na polu tylko dwa razy do roku: raz gdy uprawia pole i obsiewa, a drugi raz, gdy żniwuje, poczem zostawia przy gospodarstwie stróża, a sam bierze się do innej roboty. Nawet budynków nie potrzebuje mieć wiele, najpierw bowiem nie potrzebuje ich do przechowywania zboża i słomy, a powtóre — nie są mu one potrzebne dla inwentarza, gdyż go nie trzyma wiele: kilka koni do pociągu, parę krów dla własnej wygody i już wszystko; pole bowiem obrobi za pomocą pary, a nawóz włoży do ziemi sztuczny, nie bydlęcy.

Dlatego, ażeby czytelnik nasz miał lepsze i dokładniejsze pojęcie o sposobie gospodarowania amerykańskich rolników, umieścimy tu opis żniw, podany przez naocznego świadka.

Przejdźmy — powiada on — na pole. Oko nasze daremnieby tu poszukiwało tych narzędzi rolniczych, któreśmy przywykli widzieć na swoich polach. Niema ich tutaj, jak niema zwyczaju, by parobek szedł pieszo. Przed nami rozpościera się pole, zasiane kukurydzą. Olbrzymia żniwiarka, z parobkiem, który się rozparł na wygodnem siedzeniu, tnie zboże; inna maszyna — to grabie, które zwłóczą ścięte zboże w równe rzędy; jeszcze inne maszynowe grabie większych rozmiarów, ściągają te rzędy w gromady, które paru ludzi za pomocą odpowiednich maszyn układają w sterty. Na innem polu żniwiarka sprząta owies i sama wiąże go zaraz w snopy, które zostawia na polu.

Największy łan pola jest obsiany pszenicą, a na nim uwijają się żniwiarki szczególnej budowy. Czwórka koni idzie wtyle za każdą i pcha ją przed siebie. Parobek rozumie się siedzi na krzesełku. Żniwiarka obcina jedynie kłosy, słoma zaś pozostaje na pniu, dopóki nie przyjdzie pług parowy i nie zagrzebie jej w ziemi. Kłos ścięty zostaje porwanym przez grabie kołowe podobne do kół naszych wodnych tartaków.

Następnie kłos ten spada na ruchome płótno, które go niesie dalej i zrzuca do skrzyni. Skrzynia spoczywa na wozie, który wiezie kłosy do pobliskiej młockarni parowej; ta młóci kłosy wyrzucając do worków czyste ziarno, worki zaś owe ludzie kładą na inne wozy i odwożą wprost do pobliskiej kolei...

W gospodarstwach tamtejszych mają wozy do przewożenia ziarna wcale niepodobne do naszych; są tak ulepszonej budowy, że idą lżej i są wygodniejsze. Tam też zazwyczaj czwórka koni ciągnie dwa naładowane wozy, a gospodarz wygrywa przez to, bo nie potrzebuje dwóch tylko jednego człowieka.

Wogóle parowe maszyny wszelkiego rodzaju, jak żniwiarki, młockarnie, pługi parowe i t. d. zastępują tu człowiekowi najemnika.

Tylko na czas żniw najmuje gospodarz kilka osób, które po żniwie wracają do miasta. W czasie robót polnych obozują najemnicy zazwyczaj na polu i gotują sobie jeść na przenośnej kuchni. Słowem, sposób gospodarowania amerykańskiego jest zupełnie inny od naszego.

Z męczeńskich dziejów Unitów*).

Gubernia Hersońska 22 czerwca.

W roku bieżącym, w marcu, z gubernii siedleckiej, (powiat radzyński, wieś Rudna) przywieźli Unitę Antoniego Kucyka, który w r. 1878 był zesłany do gubernii chersońskiej. Ośm lat zostawał pod dozorem policyi. W r. 1883 umknął na Podlasie, do rodziny swej, gdzie mimo czujności strażników, przemieszkiwał lat 10, sądząc, że dokończy życia swego w kraju rodzinnym, wśród swoich. Kucyk jest starcem schorzałym. Ma lat 85 i chyba nie mógłby być niebezpiecznym dla rządu. Pojmali go jednakże, i w marcu, bieżącego roku, odprowadzili transportem, ledwie żywego, na miejsce wygnania. Podróż trwała 8 tygodni. Odprowadzili go do wsi Kislakowa, dokąd w 1878 roku skazany został na wygnanie. Kucyk ze starości i nieszczęść zupełnie zniedołężniał. Starzec ten, naturalnie nie jest w stanie zarobić na kawałek chleba. Codzień prowadzą go do któregokolwiek z włościan Kislakowa, którzy wprawdzie dają mu liche pożywienie, lecz nie szczędzą przy tem słów obelżywych i nazywają starym buntownikiem.

W roku zeszłym, w gubernii chersońskiej, umarło dwóch Unitów, mianowicie: Prokop Sichaczewski we wsi Zagrodówka (powiat chersoński, stan nowo-worońcowski) i Kornel Rafałek we wsi Porużna. Ciała ich pogrzebane zostały przez zesłanych Unitów. Obaj byli ze wsi Kodnia, powiatu bielskiego. Z Kodnia Unitów w stanie nowo-worońcowskim znajduje się jeszcze około 30. Jeden od drugiego mieszka o 15, 20 i 30 wiorst. Z sobą prawie nie widują się.

O pracę koło roli jest niezmiernie trudno. Unitom nie pozwalają mieszkać w koloniach niemieckich, lub wsiach, gdzie dla Unity łatwiej o zarobek.

Wśród ludności prawosławnej, podburzanej ciągle przez po-

*) Unitami nazywają się katolicy wschodniego czyli ruskiego obrządku, których Moskale gwałtem ciągną na szyzmę.

pów i policyę, położenie Unitów jest nie do zniesienia. Daje im się wprawdzie zajęcie, ale nie płaci się za pracę, bo wszyscy wiedzą, że Unita będzie pracował za liche jedzenie i to sumiennie.

Niektórzy z włościan wypędzają Unitów z domu, skazując ich często na kilkudniowy głód. Od rządu na życie, tak zwane karmowe, otrzymują tylko ci Unici, których doktor uzna za chorych i niezdolnych do żadnej pracy.

W miasteczku Borysławiu nad Dnieprem, odległym o 70 wiorst od Chersonu, żyje 12 Unitów, których doktorzy uznali za chorych, a zatem niezdolnych do żadnej pracy. Tym rząd wyznaczył po 15 kopiejek dziennie. Pieniądze te od Unitów otrzymują gospodarze, u których Unici mieszkają. Dostają za nie posiłek dzienny. Zależni jednakże w tym względzie są zupełnie od swoich gospodarzy. Jeżeli który z nich sumienny, Unita dostaje takie same pożywienie jak włościanin, u którego mieszka; bywają jednakże i takie wypadki, że chociaż włościanie otrzymują od nich 15 kopiejek dziennie, prócz suchego chleba, nic im więcej nie dają do jedzenia.

W stanie nowo-bielskim znajduje się 15 Unitów. Wszyscy rozesłani są po wsiach. W każdej po jednemu, dwóch, najwięcej trzech. Nie służą nigdzie, głównie dlatego, że na służbę ich nie przyjmują z obawy przykrości ze strony policyi.

W 5-tym stanie nowo odeskim jest także kilkunastu Unitów. Czterech z nich, mianowicie Izydor Abramik, Mikołaj Łopalnik, Michał Piwowarczuk i Grzegorz Gorbowicz, uznani przez lekarza za chorych, otrzymują od rządu karmowe. Reszcie, chociaż między nimi są słabego zdrowia i w wieku podeszłym, odmówiono. Na prośbę do gubernatora, odpowiedziano im, że na utrzymanie mogą zarobić.

W powiecie jelizawetgradzkim i aleksandrowskim Unitom powodzi się trochę lepiej. Służą w ekonomiach jako dozorcy przy robotach. Są z nich bardzo zadowoleni, wyzyskują ich jednakże na każdym kroku. Dozorcy lub parobkowi folwarczemu, jeżeli on Unita, płacą zaledwie połowę tego, co inni pobierają. W powiecie odeskim i ananijeńskim wszyscy Unici pobierają po 15 kopiejek dziennie na utrzymanie.

Kronika kościelna.

— **List pasterski Ojca św. do XX. Biskupów austryackich.** Na ręce X. Kardynała Schönborna, Arcybiskupa w Pradze, przesłał Ojciec św. list pasterski wystósowany do XX. Biskupów austryackich. W tym liście oświadcza Ojciec św., że Kościół jest podstawą i fundamentem prawdy, dlatego jego zadaniem jest walczyć ciągle przeciwko ciemności, niszczyć

błędy, przynosić duszom coraz większe światło. — Wiecie — są słowa Ojca św., jaką miłością otaczamy młodzież, jaką boleść sprawiają nam ciągle grożące młodzieży pokusy i jak bardzo życzymy sobie, ażeby młodzież wyszła z tych pokus bez szwanku. Z tego też względu usłyszeliśmy ostatnie oświadczenie ministra oświaty JE. p. Madejskiego Polaka z wielkiem zadowoleniem. Nie ma nic gorszego i szkodliwszego dla społeczeństwa, jak rozszerzanie przekonania, że między władzą państwową a Kościołem muszą panować niesnaski. Wprawdzie każde z nich ma własny obszar, którego przekraczać nie należy: państwu przydzielona została troska o szczęście ziemskie i przemijające, Kościołowi o szczęście dusz bez końca. Ponieważ jednak doczesny dobrobyt opiera się głównie na sprawiedliwości i obyczajności, przeto potrzebuje władza ziemska pomocy religii, której zadaniem jest trzymać umysły w karbach i zachęcać do każdej cnoty. Religia znowu, która nietylko panuje nad duszami, ale nad ludźmi żyjącymi w spółeczeństwie, potrzebuje przyjaznej od państwa pomocy. Kościół i państwo muszą więc żyć w związku. Mianowicie odnosi się to do sprawy nauczania młodzieży. Władza świecka, która zajmuje się ćwiczeniem młodzieży w umiejętnościach równocześnie winna dążyć do wykształcenia obyczajowego i religijnego za pomocą nauczania, jaką ma Kościół i pod jego nadzorem i kierownictwem. Mamy nadzieję, że nowemu ministrowi uda się przeprowadzić, ażeby w zakładach naukowych austryackich otrzymali duchowni należne im stanowisko i ażeby nic się nie zdarzało takiego, przez coby umysły młodzieńcze usposobione być mogły nienawistnie dla Kościoła.

— **Poświęcenie kaplicy i kościoła.** Dnia 14 lipca odbyło się poświęcenie kaplicy św. Jacka, świeżo odnowionej, znajdującej się przy kościele XX. Dominikanów w Krakowie. Poświęcenia dokonał Najprzew. X. Glazer Biskup-sufragan z Przemyśla. Nazajutrz w niedzielę (15 lipca). Najprzew. X. Biskup wyświęcał na kapłanów kilkunastu kleryków krakowskich, a dnia 16 lipca poświęcał nowy kościół XX. Missyonarzy na Czarnej wsi pod Krakowem.

— **Z Kochawiny** (w pow. stryjskim) gdzie jest obraz Matki Bożej cudami słynący, donoszą, że budowa nowej świątyni postąpiła znacznie naprzód, dzięki ofiarom składanym przez pobożne osoby. Pozostaje jednak wiele jeszcze do roboty, więc zarządzca kościoła *X. J. Trzopiński*, który gorliwie się tą sprawą zajmuje, udaje się do serc litościwych z prośbą o dalsze ofiary. W tym roku 25—27 sierpnia ma się odbyć konsekracya kościoła i przeniesienie cudownego obrazu Matki Bożej do nowego kościoła. Wszelkie ofiary należy przesyłać do *X. J. Trzopińskiego* w Kochawinie, poczta *Żydaczów*.

— **Z pod Moskala.** Jak wiadomo, pismo czyli encyklika Ojca św. do Biskupów polskich ukazała się w marcu, Rosya jednak nie pozwoliła jej ogłosić aż dopiero z końcem maja. Ponieważ to trwało zbyt długo, przeto Kardynał Rampolla, sekretarz stanu, na polecenie Ojca św. zapytał się rządu petersburskiego, co to ma znaczyć, że nie ogłoszono encykliki w gazetach i kościołach katolickich. Minister rosyjski Giers dał na to ni taką, ni siaką odpowiedź. Wtedy Ojciec św. zagroził, że wyda nową encyklikę do wszystkich ludów katolickich i zawezwie je do modłów za uciśniony naród polski. Gdy to się stało, wówczas nadszedł do Warszawy gwałtowny rozkaz z Petersburga, aby encyklikę natychmiast drukowano w gazetach i głoszono ją po kościołach. Tak o tem donoszą z Warszawy do pewnej gazety krakowskiej.

— **XX. Jezuici** nie powrócą do Niemiec, zkąd ich swego czasu wypędził Bismark. Na powrót XX. Jezuitów nie zgodziła się Rada związkowa, natomiast zaś zgodziła się na to, aby w Niemczech osiedlili się XX. Redemptoryści.

— **Straszne świętokradztwo.** Zdarzyło się w gminie Bulle, w Szwajcaryi. Pewna panna Claraz przyklękła w kościele, gdy ksiądz komunikował, aby przyjąć komunią św. Ksiądz jednak nie udzielił jej Komunii. Panna zaskarżyła księdza do sądu, który wezwał księdza, ażeby się się wytłómaczył. Ksiądz istotnie to uczynił i teraz dopiero wydało się straszne i bezecne świętokradztwo, jakiego się dopuszczali z św. Hostyami masoni tamtejsi. Owa panna także masonka przystąpiwszy do Komunii, nie połykała jej, lecz wyjmowała z ust i zanosiła do loży masońskiej. Tamtejsi masoni urządzili sobie niejaką kaplicę z ołtarzem i tam — aż pióro się wzdryga — nożami źgali Hostye. Jeszcze inne prawdziwie szatańskie bluźnierstwa tam czynili tak okropne, że niepodobno o nich pisać. Ta kaplica masońska była prawdziwą kaplicą szatana. Owa panna zaś kradła Hostye, przyjmując je w kościele jako Komunią. Księża się o tem przekonali i dlatego jej Komunii odmówili. Najwyższy sąd przekonawszy się o wszystkiem, księdza od winy uwolnił. Katolickie gazety zwracają uwagę, że niektóre loże masońskie nietylko w Szwajcaryi, ale także w Niemczech, Francyi, Belgii, Anglii, Rosyi, Węgrzech, Włoszech i Hiszpanii takiego świętokradztwa się dopuszczają. Aż się cały człowiek wzdryga na takie szatańskie sprawy masonów.

Nowiny ze świata.

— **12 tysięcy ludzi bez chleba.** W mieście Kolbuszowej i przyległej okolicy na milę kwadratową dnia 15 lipca o 3 godz. po południu zerwała się burza, jakiej w tej okolicy nie widziano. Wnet wicher pozdzierał kilka dachów, połamał drzewa; grad nadzwyczajnej wielkości powybijał wszystkie szyby, z ziemią zrównał zasiewy, połamał jarzyny, obdarł drzewa z liści i owoców. Nastąpiła ulewa i kilka piorunów uderzyło w domy. I tylko płacz i narzekania wychodzi z domów bez okien, załamywanie rąk i lament powszechny na ulicach i opustoszałych polach; bo wielka nędza i *śmierć głodowa grozi dotkniętym, jeżeli litość nie przyjdzie w pomoc.* Pan starosta Tustanowski dał 100 złr. na dotkniętych.

— **Okropny wypadek.** Z Brzeżan donoszą, że w jednej okolicznej wsi, chłop Adam Gawryło chciał zamordować żyda, a przez pomyłkę zamordował swego własnego syna. Rzecz się tak miała: Ów chłop sprzedał żydowi Barbowi tegoroczny zbiór miodu, na co wziął jako zadatek 50 złr. Gdy nadszedl czas dostawy, chłop oświadczył, że nie może miodu dostawić i zgodził się zwrócić zadatek i odszkodowanie; a to miał oznaczyć rabin. Udali się więc obaj z żydem do rabina, który osądził, że chłop za odszkodowanie ma zapłacić żydowi 10 złr., a więc niewielką kwotę. W powrocie od rabina wstąpił Gawryło z owym żydem do karczmy, a że tam do późna w nocy zabawili, więc namówił żyda, aby u niego przenocował. W domu zrobił chłop swemu gościowi wygodne łoże z siana w stodole, życzył mu dobrej nocy, poczem wyszedł, zamykając za sobą starannie stodołę.

Ta okoliczność wzbudziła u handlarza podejrzenie, przestrach go ogarnął i omackiem szukał wyjścia z małej stodoły, przeczuwając jakieś nieszczęście. Jakoś udało mu się odkryć drugie drzwi, na rygiel tylko przymknięte i wydostać się tym sposobem z podejrzanej stodoły.

Tymczasem wrócił syn chłopa z karczmy w stanie pijanym, a znalazłszy stodołę otwartą, wstąpił do niej i ułożył się do snu na łożu, przeznaczonem dla handlarza. Przypadek chciał, że handlarza spotkał po drodze żandarm, który nie znając go, zapytał się, dokąd idzie o tak późnej godzinie. Handlarz opowiedział całe swoje zdarzenie, ponieważ jednak nie miał przy sobie żadnych papierów, którymi by się mógł wylegitymować, przeto żandarm nie chciał jakoś opowiadaniu żyda uwierzyć i zażądał, by się wraz z nim udał do chłopa Gawryły.

Gdy po kilkakrotnem pukaniu nikt drzwi nie otworzył, żandarm zniecierpliwiony rozwalił drzwi kolbą swego karabinu służbowego i wszedł do izby, w chwili, gdy chłop obmywał sobie ręce krwią zbroczone.

Równocześnie wsunął się do izby handlarz, chłop zaś zobaczywszy go struchlał i przeżegnawszy się krzyknął: »Taż ja ciebie dopiero co zabiłem«.

Żandarm natychmiast przyaresztował zbrodniarza i udał się z nim razem do stodoły, by zobaczyć kogo zamiast handlarza zamordował.

Tam leżał w kałuży krwi własny syn chłopa z przerzniętem gardłem i już martwy, ofiara pomyłki zbrodniczego ojca, który po dokonaniu morderstwa miał zamiar wrócić do stodoły, by splądrować kieszenie handlarza i usunąć lub zakopać zamordowanego. Czy to nie straszna kara Boża?

— **Upór w ciemnocie.** Upór w dobrem jest rzeczą chwalebną, ale upór w złem jest rzeczą hańbiącą. Taka hańba spada na wiele, bardzo jeszcze wiele naszych wiosek i wieśniaków, którzy uparli się być ciemnymi i głupimi. Ludzie życzliwi ludowi chcą mu dopomódz, oświecić go, ale nadaremna ich praca, próżne ich zabiegi, bo chłopi nie chcą się niczego nauczyć. To też niejeden z przyjaciół ludu widząc taki upór u chłopów, opuszcza ręce w tej pracy i porzuca to niewdzięczne pole. P. Wiszniewska dobrą była nauczycielką we wsi Trzetrzewinie za Sączem. Pracowała tam z całych sił swoich, chciała dopomagać ludowi, starała się i zabiegała, aby we wsi powstała Czytelnia, aby założono sklepik, ale gadaj tam chłopom o tem. Gdyby im założono choć z 10 karczem, toby się na to chętnie zgodzili, ale co im tam po czytelni lub sklepiku! Więc owa nauczycielka widząc takie poparcie u włościan najlepszych swych chęci, opuściła tę posadę i przeniosła się na inną. A że była dobrą nauczycielką, to poświadcza i to, że gdy na egzaminie żegnała dzieci szkolne, to wszystkie dzieci płakały. Dzieci więc prędzej umieją ocenić pracę, niż starsi włościanie. I jak tu pracować dla takiego ludu! Szkoda zdrowia, szkoda dobrych chęci! Prędzej wielu słucha takich ludzi, którzy ich podjudzają przeciw bliźnim, niż tych, którzy ludowi najlepiej życzą! Smutny to znak, bo świadczy o dzikiej jeszcze naturze chłopskiej, nie u wszystkich wprawdzie chłopów, ale u wielu.

— **Burze i grady** nawiedzają znowu nasz kraj i niszczą plony rolnikom. Z różnych stron kraju donoszą o tej klęsce prawie codziennie.

— **Rada państwa** zbierze się i zacznie swoje obrady w Wiedniu w połowie października.

— **Władze wojskowe,** a szczególnie szpitale wojskowe otrzymały od ministerstwa wojny rozkaz, aby gdy jaki żołnierz w szpitalu umrze, natychmiast nawet telegraficznie zawiadomiły jego rodziców lub krewnych, iżby ci mogli przybyć na pogrzeb zmarłego żołnierza.

— **Z Warszawy.** Ostatecznie ogłoszono już w Warszawie wyroki na osoby, które dnia 17-go kwietnia wzięły udział w uroczystym pochodzie na pamiątkę setniej rocznicy powstania Kościuszkowskiego. Z 240 osób, które wówczas pociągnięto do odpowiedzialności, skazano 160 na zesłanie do Rosyi, przeważnie do gubernii północnych i wschodnich; znaczy to tyle, że osoby skazane muszą na pewien czas zamieszkać wśrod wrogich sobie Rosyan, co się równa nieomal zupełnie więzieniu. Wolno sobie wybrać gubernią z liczby poddanych, ale do każdej musi jechać równa liczba. Najsurowiej ukarano pewnego redaktora, którego skazano na cztery miesiące więzienia i pięć lat pobytu w guberniach północnych. Z pozostałych 80 osób kilkanaście uwolniono zupełnie, inni zaś którzy siedzieli 6 tygodni w więzieniu, mają być nadal pod dozorem policyjnym.

— **Car rosyjski** ma przyjechać około 15 sierpnia do Warszawy, aby wziąć udział w uroczystości poświęcenia kamienia węgielnego pod nową cerkiew na placu Saskim. Car zabawi tylko 6 godzin w Warszawie.

— **Elektryczne światło w chatach wieśniaczych.** Gmina Pergine w południowym Tyrolu zbudowała swoim kosztem maszynę elektryczną, która dostarcza elektryki rozmaitym warsztatom do obracania maszyn. Siła tej maszyny równa się sile 100 koni. Oprócz tego ogłosiła gmina, że własnym kosztem zakłada po chałupach w gminie lampki elektryczne, których światło będzie się równało światłu 5 świec. Opłata za to wynosić będzie na cały rok 2 złr. 75 ct. Zgłosiło się już wielu chłopów z prośbą, aby im takie światło elektryczne w domach urządzono, bo wyniesie ono taniej niż nafta. Czyby to u nas w Galicyi było możliwe? Nigdy w świecie, bo to nowość, a nasz chłop boi się nowości, a boi się dlatego, bo jej nie rozumie, a nie rozumie znowu dlatego, że niema oświaty, a niema oświaty, bo jej sam nie chce.

— **Jakich to przełożonych mają masoni.** Najwyższym naczelnikiem masonów włoskich jest żyd Lemmi, zajadły wróg Ojca św. i Kościoła katolickiego. Masoni angielscy głoszą sami, że ten żyd nie zasługuje na tę godność, bo 23 marca 1844 zasądzony był w mieście Marsylii na rok więzienia za kradzież.

— **Uwielbienie dla mordercy.** Myśmy zawsze dotychczas pisali i teraz to powtarzamy, że anarchiści to bracia socyalistów, że socyaliści kierują ludzi na anarchistów, czyli morderców. To nasze zdanie potwierdzili niedawno sami socyaliści. Oto bowiem jeden z głównych dowódzców socyalistów niemieckich tak pisał w zeszłym miesiącu w socyalistycznej gazecie *Socialdemokrat* o mordercy Karnota: Byłoby tchórzostwem — gdybyśmy (t. j. my socyaliści) oburzali się na Kaseria (mordercę Karnota), jak to czynią inne gazety i gdybyśmy uważali go za wyrzutka godnego pogardy. Nie! Mordercą ani wyrzutkiem on nie jest, ale jest ofiarą godną współczucia, a jego gorliwość *godna jest szacunku.* Tak pisała gazeta socyalistów. Przekonajcież się teraz, jacy to ludzie są socyaliści. Chyba nie można już mieć nad powyższe słowa jaśniejszego sposobu poznania celu, do jakiego oni dążą. Cóż więc mówić o tych chłopach, którzy się chwalą, że czytają zakazane i socyalistyczne

gazetki? Ano, widać, że im nie chodzi o duszę i o zbawienie i że są bardzo zaślepieni i głupi.

— **Robotnicy francuscy** poznają się już na farbowanych lisach, czyli na socyalistach i z pogardą zaczynają się od nich odwracać. W niedawnych dniach pojechał był do miasta Triniak, pewien socyalista Fabero, aby tamtejszych robotników, którzy dali się namówić do bezrobocia, podtrzymywać ich w tej zmowie dla nich szkodliwej, i dalej ich podburzać. Gdy się jednak między niemi pokazał, odezwały się okrzyki: »precz z tymi, co nas do bezrobocia zachęcają, mamy już tego dosyć!« Również nie ma już żadnego znaczenia u robotników francuskich inny także naczelnik socyalistów, ktorego dawniej wszyscy słuchali. Powoli więc poznają się wszyscy robotnicy na tych wilkach w owczej skórze i odtrącą ich od siebie. Francuscy robotnicy poznali się najprędzej, bo mają większą oświatę. Bo istotnie, tylko głupi może socyalistom i wichrzycielom wierzyć!

— **Nie udała się próba.** Z Austryi wybrało się kilkadziesięciu zapalonych socyalistów do Afryki, aby sobie tam utworzyć państwo wedle swego widzimisię. Przedsiębiorstwo to wzięło naturalnie bardzo kiepski koniec, co z góry było można przewidzieć. Najwięcej przyczyniła się do tego niezgoda między wychodźcami, z których każdy chciał być najmądrzejszy. Łatwo sobie wystawić, na czem się skończyć musi, skoroby miało istotnie powstać państwo socyalistyczne. Kilku ich się nie zgodzi, a cóż dopiero tysiące, miliony!

— **Francya**. Nowego prezydenta nasyłają anarchiści bezustannie listami pełnymi pogróżek, a zdają się go mocno obawiać dla jego stanowczości. Przysłano mu niedawno list krwią pobryzgany, w którym napisano: »We wrześniu zamierzasz przybyć do Lyonu; bądź przekonanym, że jeźli wówczas Kazerio (morderca Karnota) już żyć nie będzie, natenczas i ty zginiesz«. Mimo tego znany z odwagi prezydent nie zmienia swego postanowienia ani na chwilę, a nawet zakazał, aby go otaczano tajną policyą. — *Morderca prezydenta Karnota*, Kazerio staje się z każdym dniem bezczelniejszym, mimo że siedzi w więzieniu. Przed kilku dniami napisał list do nowego prezydenta, w którym się uskarża na jedzenie, jakie mu podawają i prosi, aby kazał mu dawać lepszą strawę, zaznaczając, że przecież jemu zawdzięcza, iż został prezydentem! W tym zbrodniarzu niema już chyba ani iskierki uczucia.

— **Majątek Rotszyldów.** W r. 1800 stary Rotszyld, ojciec słynnej dziś żydowskiej rodziny bankierskiej, nie miał jeszcze nic prawie. W roku zaś 1875 dom Rotszyldów miał $2^1/_2$ miliona reńskich majątku, dzisiaj ma już 5 miliardów (czyli 5 tysięcy milionów), że zaś jak obliczono co lat 15 suma ta się podwaja, więc w roku 1965, Rotszyldowie posiadać będą 150 miliardów reńskich, z których mogłoby się utrzymać 37 milionów 120 tysięcy ludzi. Majątek ten rośnie Rotszyldom bez pracy, dzięki tylko różnym spekulacyom pieniężnym.

Rozmaitości.

Nowy sposób zwiększania urodzajności ziemi wymyślono we Francyi. Jeśli on okaże się tak skutecznym, jak niektórzy głoszą, to będzie niezmiernie ważnym wynalazkiem. Przekonano się już dawniej, że siła

zwana elektrycznością, ta sama, od której bywają błyskawice i pioruny, a która też przenosi wieści po drutach telegrafu i oddaje ludziom wiele innych usług, oddziaływa także i na plenność nasienia i na wzrost roślin. Pewien Francuz uczony, Polę, umyślił rozstawiać na ziemi uprawnej wysokie słupy z drutami w grunt zapuszczonemi i tym sposobem zwabiać do roli siłę elektryczną z chmur i powietrza. Podobno też okazało się, że na ziemi tak opatrzonej wszelkie zboża dały plon większy niż zwykłe, a krzew winny też bardzo pięknie obrodził. Na próbę dwa jednakowe działki roli obsadzono równą ilością kartofli. Otóż z tego działka, który był za pomocą słupów poddany działaniu elektryczności, zebrano plon więcej niż o trzecią część obfitszy, niż z drugiego. W tym roku rozpoczęto już i w Królestwie Polskiem próby ze sposobem Polena. Zastosowano go przy uprawie buraków cukrowych w Brzozówce w powiecie Stopnickim (gubernii Kieleckiej). W jesieni więc zapewne się dowiemy, czy elektryczność naprawdę przyczynia się tak bardzo do zwiększania plonów.

Za cenę wódki co można dostać? Pewne pismo angielskie obliczyło, że na przedmieściu Kensington w Londynie wydatki ludzi na trunki upajające wynoszą blisko $7\frac{1}{2}$ miliona reńskich. Gdyby te pieniądze zamiast na wódkę, obrócono na sprawunki w mieście, to możnaby za nie dostać: 30 tysięcy ubiorów dla robotników, licząc garnitur po 25 złr., dalej: 60 tysięcy koszul męskich, 30 tysięcy ubrań dla kobiet, 30 tysięcy par butow, 60 tysięcy koszul dla kobiet, 10 tysięcy ubrań dla dzieci, 100 tysięcy par trzewików dziecinnych, 50 tysięcy łóżek dziecinnych, 30 tysięcy łóżek dla dorosłych, 30 tysięcy mebli do mieszkań dla robotników i 30 tysięcy różnej bielizny domowej. Oprócz tego za resztę pieniędzy możnaby jeszcze zbudować dom zabawy dla robotników z czytelnią, łazienkami i pralnią publiczną, a przytem ileżby to jeszcze zarobili sami robotnicy.

Od Wydawnictwa.

Już trzeci numer w drugiem półroczu wydajemy, upływa już połowa kwartału trzeciego, a mimo to dość znaczna część Sz. Czytelników nie nadesłała nam jeszcze prenumeraty na to II-gie półrocze. Do Was więc zalegających z przedpłatą odzywamy się słowami: Miejcież sumienie i nie utrudniajcie nam pracy!

Kto nie chciał czytać naszego pisma, powinien był nas o tem zawiadomić zaraz z początku półrocza, kto jednak nadal pismo bierze, ten w sumieniu obowiązany jest za nie zapłacić, inaczej dopuszcza się wobec nas nieszlachetnego postępku, którego nie chcemy po nazwisku wymieniać, bo każdy wie jak to nazwać. — Prosimy także całorocznych przedpłacicieli o dopłatę 25 ct. na to 2-gie półrocze. — Wskutek tego że wielu zalega z przedpłatą i dopłatą, musieliśmy zmniejszyć nieco objętość pisma, a nie nasza w tem wina.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: *Ks. Marceli Dziurzyński.*

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarz. J. Łakocińskiego.

Wykaz ofiar

złożonych na restauracyę kościoła OO. Bernardynów w Leżajsku:

(Ciąg dalszy).

JW. hr. Marya Potocka dalsze 200 złr. na restauracyę organu X. Węgrzynek, Skałkowska ze Lwowa, Franciszka Meysnerowa, J. Gryczyńska, hr. Wolański, Sylwina Niedzwiecka, K. K. z Nowego Sącza, Zofia i Sewerynka Ujejskie, Józefa Zaleska jako votum za powrócone zdrowie, Ludwik Pikor, J. Dąbrowski, Z. M. D. z Lubatówki, X. Wincenty Frączkiewicz po 2 złr.; Jan Mateszko, Jan i Katarzyna Flis po 50 złr., Marya Oczkowska o zdrowie, Leon Olszewski, Wanda Chłopicka z prośbą o jedną łaskę, M. Wąsowicz po 3 złr.; X. W. Pawlikowski, Helena Gajewska, Ignacy Dembowski, Zofia Łopatyńska, Bronisław Nowiński, Karol Holzer, Stefan Wasyl po 10 złr.; Marya Harasiewicz za szczęśliwe przejście choroby 25 złr.; Tekla Asłan o łaski dla rodziny, Stanisław Lechowski, B. ze Lwowa o powrócenie zdrowia żonie i zachowanie tegoż dzieciom, P. Horodyńska o pomoc, X. J. Kwiatkowski za pośrednictwem Administracyi *Czasu*, Jędrzejowiczowa z Litatyna o pomoc i opiekę w obecnej potrzebie, Emilia Hubkowa o cudowne uzdrowienie córki, Rozalia Czaykowska o uproszenie łaski, Wincentowie Jabłońscy z powodu szczęśliwie przebytej choroby po 5 złr.; N. N. 25 złr.; T. W. z Krakowa z podziękowaniem, N. M. B. za Jej nieprzebrane dobrodziejstwa, Ludwik Kuryło, Lonst i Józefa Kłomirscy za doznane cudowne łaski i o dalszą opiekę po 4 złr.; X. Dziekan Karakulski z Krzemienicy 8 złr.; Marya Piórecka jako votum dziękczynne, M. o zdrowie ócz, Anna Weiss, C. M. z Sokala, Kamil Kublin, J. Gryczyńska, Ł. Popowczak, P. Zawadzka, P. T. hr. Łoś, K. Wasilewska, J. Klin, M. Przyjemska, E. Rappé, J. K. na int. Filipa, Z. D. z Tarnowa o opiekę, M. B. Zygmuntowicz z Jagielnicy, Wojskowska, X. Wróblewski po 1 złr.; Michał Piotrkowski 1 rubl.; Jan Ruczay 1 złr. 20 ct.; N. N. ze Lwowa 1 złr. 50 ct.; Józef Piątek, J. i A. Poturało, I i Z. P. i S. C. z Bochni 50 ct.; Konst. Żukiewicz 6 złr.; T. Znamiecka z Zembrzyc 270 cwancigierów. I. T. na podziękowanie za uzdrowienie 1 złr.; Br. Olszewska z podziękowaniem M. C. i z poleceniem się Jej miłosierdzie 5 złr.

Wszystkim przezacnym P. T. ofiarodawcom składa konwent serdeczne podziękowanie z obietnicą pamięci przed Bogiem i Najśw. Maryą Panną.

Ks. Ł. Dankiewicz,
Gwardyan OO. Bernardynów w Leżajsku.

Ceny zboża w Krakowie.

(Z targu na Kleparzu dnia 27 lipca 1894 r.).

Płacono za pszenicę białą 6 złr. 80 ct. do 7 złr. 50 ct., za czerwoną 6 złr. 50 ct. do 7 złr. — ct., za żółtą 6 złr. 50 ct. do 7 złr. — ct., za żyto 5 złr. — ct. do 5 złr. 50 ct., jęczmień browarny 6 złr. 10 ct. do 6 złr. 25 ct., za jęczmień na kaszę 4 złr. 75 ct. do 4 złr. 90 ct., owies 6 złr. — ct. do 6 złr. 60 ct., rzepak nowy 9 złr. — ct. do 9 złr. 75 ct. Wszystko za 100 kilogr.

Wykaz świąt najbliższych dwóch tygodni.

Dnia	Święta rzymskie od 1 do 15 sierpnia	Wschód słońca		Zachód słońca	
		god.	min.	god.	min.
1	Środa. Piotra w okowach.	4	11	7	20
2	Czwartek. *N. P. Maryi Anielskiej* i Alfonsa.	4	12	7	18
3	Piątek. Znalezienie św. Szczepana i Lidyi.	4	13	7	16
4	Sobota. Dominika wyznawcy.	4	15	7	14
5	*Niedz. 12 po Z. Św.* N. M. P. Śnieżnej.	4	16	7	12
6	Poniedz. *Przemienienie Pańskie.*	4	17	7	11
7	Wtorek. Kajetana wyzn. i Alberta.	4	19	7	9
8	Środa. Cyryaka męcz. i Maryana męcz.	4	20	7	7
9	Czwartek. Kamilla z Lellis i Romana wyzn.	4	22	7	6
10	Piątek. Wawrzyńca męcz. i Filomeny p. i m.	4	24	7	4
11	Sobota. Zuzanny panny męcz.	4	25	7	2
12	*Niedz. 13 po Z. Św.* Klary, Hilaryi i Fel.	4	27	7	—
13	Poniedz. Hipolita i Kassyana.	4	28	6	59
14	Wtorek. *Wigilia.* Euzebiusza męcz.	4	29	6	58
15	Środa. **Wniebowzięcie N. Maryi P.**	4	31	6	56

Możliwe zmiany powietrza

w drugiej połowie miesiąca sierpnia.

(Z Kalendarza „Czecha").

Nów, dnia 1 o godz. 1 minut 24 po południu. — Dnie gorące i parne, przeplatane burzami i nawalnicami.

Pierwsza kwadra dnia 8 o godz. 11 min. 5 rano. — Ze zmianą wiatru, ochłodzenie powietrza i wichrowato.